



GRZEGORZ KUCHARCZYK

NIEUDANA KOLONIZACJA

PRÓBA PRZEROBIECIA POLAKÓW NA NIEMCÓW, ZAINICJOWANA
PRZEZ BISMARCKA, ZAKOŃCZYŁA SIĘ NIEPOWODZENIEM

W latach 80. XIX w. Rzesza Niemiecka była najpotężniejszym mocarstwem w Europie. Państwo Ottona von Bismarcka przodowało wśród innych krajów pod każdym względem: militarnym, gospodarczym i kulturowym. Niemiecka szkoła obok pruskiej armii była traktowana jako rozwiązanie wzorcowe.

Żelazny kanclerz po zjednoczeniu Niemiec w 1871 r., które osiągnięto po upokorzeniu Francji (czego symbolem było proklamowanie Rzeszy w pałacu wersalskim), ogłosił, że są one „krajem nasyconym”. A jednak było coś, co trapiło niemieckie elity polityczne i kulturowe. I nie był to „koszmar koalicji”, czyli konieczność jednoczesnego toczenia wojny na dwóch frontach – przeciw Francji i Rosji.

TEZA HARTMANNA

Przyczyną obaw byli Polacy. Naród, który nie otrząsnął się jeszcze z traumy po klęsce powstania styczniowego. Naród, który boleśnie odczuł upokarzającą klęskę w 1870 r. cesarza noszącego nazwisko Bonaparte, będące przeciw wskazówką, „jak zwyciężać mamy”. Naród pozbawiony własnego państwa od niemal stu lat. Otóż właśnie ten naród, a właściwie jego część zamieszkująca ziemie zaboru pruskiego, stał się dla niemieckich elit powodem snucia podszytych obawami analiz dotyczących przyszłości „niemieckiego Wschodu”.

W 1885 r. Eduard Hartmann w głośnym artykule „Cofanie się niemczyzny” („Der Rückgang des Deutschtums”) streścił to stanowisko, stwierdzając: „Skoro Słowianie tępią niemczyznę w swoich granicach, musimy odpowiedzieć represjami, musimy wykorzeńić słowiańszczyznę w naszych granicach”. Poprzez „tępienie niemczyzny” autor i jemu podobni protagoniści polityki „wykorzeniań” (ausrotten) rozumieli trwanie Polaków z zaboru pruskiego przy swojej tożsamości narodowej, a nawet – co z punktu widzenia reprezentantów „wyższej niemieckiej kultury” było prawdziwym horren-dum – odradzanie się polskości na ziemiach, które odpadły od Polski długo przed rozbioremami (jak Góry Śląsk).

Forsowana od dziesięcioleci przez Berlin polityka germanizacji nie tylko nie przynosiła pożądanych rezultatów, lecz również okazywała się przysłowiowym strzałem w stopę. Taki skutek miał bowiem rozpętany przez Bismarcka w latach 70. XIX w., z udziałem ugrupowań liberalnych, antykatolicki Kulturkampf. Nad Wisłą

i Wartą przybrał on dodatkowo formie kolejnej fazy ucisku germanizacyjnego. Dobrze zdawano sobie sprawę z tego, że Kościół katolicki w zaborze pruskim jest główną ostoją polskości. Bismarck miał jednak równie żywą świadomość, że nie tylko nie udało mu się złamać Kościoła, lecz także przyczynił się do ożywienia polskiej tożsamości narodowej na „niemieckim Wschodzie”. W 1881 r. pisał do pruskiego ministra spraw wewnętrznych Roberta von Puttkamera: „W ciągu ostatnich dziesięciu lat odniosłem kilkakrotnie wrażenie, że na Śląsku i w Prusach Zachodnich [Pomorze Gdańskie], a przede wszystkim w okolicach Grudziądza, sprawa polska poczyniła znaczne postępy kosztem niemieckiej”.

WYRZUCIĆ I WYKORZENIĆ

Pierwszym krokiem na drodze powstrzymania „cofania się Niemczyzny” na wschodzie miały być tzw. rugi pruskie, czyli ekspulsja z Niemiec (przede wszystkim z ziem zaboru pruskiego) ok. 30 tys. poddanych rosyjskich, głównie Polaków (i niewielkiej liczby Żydów), którzy – gdzieś tam od kilkudziesięciu lat – mieszkali i pracowali w granicach Prus. Dla władz niemieckich byli to nieproszeni imigranci. W rzeczywistości osiedlali się po prostu w innej części swojej ojczyzny, która była okupowana przez zaborcę innego niż rosyjski. „Rugi pruskie” odbiły się szerokim echem w całej Europie, przyczyniając się w ten sposób w dużej mierze do podania w wątpliwość propagandowej wizji Prus jako „państwa kultury” (Kulturstaat) w oczach międzynarodowej opinii publicznej.

Nie powstrzymało to jednak Bismarcka przed kontynuowaniem antypolskiej polityki. I tak pruski parlament w kwietniu 1886 r. uchwalił „prawo dotyczące wspierania niemieckich osiedli w Prowincji Prusy Zachodnie i Prowincji Poznańskiej”. W ten eufemistyczny sposób nazwano ustawę powołującą do życia pruską Komisję Kolonizacyjną, wyposażoną w gigantyczny – jak na owe czasy – budżet 100 mln marek. Cel działania tej instytucji najlapidarniej sformułował sam Bismarck, gdy przekonując pruskich deputowanych do poparcia tego budżetu, wyjaśniał w parlamencie, że

celem powoływanej komisji jest „zdobyć dobra polskiej szlachty, krótko mówiąc – by szlachtę wydziedziczyć”. Ponieważ zaś budżet instytucji pochodził z podatków płaconych przez wszystkich obywateli, w tym także Polaków, zmuszano ich w ten sposób do współfinansowania akcji wynaradawiania ziem polskich.

NIEMIECKA LEWICA O „DRANG NACH OSTEN”

Życzeniu Bismarcka stało się zadość dzięki głosom konserwatystów i narodowych liberałów. Protestowało Koło Polskie i katolickie Centrum, którego przywódca Ludwig Windthorst określił rządowe plany akcji kolonizacyjnej „proklamowaniem nieograniczonego stanu wyjątkowego”. Powołanie Komisji Kolonizacyjnej oprotowali również deputowani socjaldemokratyczni. Ich przywódca Wilhelm Liebknecht czynił to jednak w dość kuriozalny sposób. W styczniu 1886 r. na forum Reichstagu, gdy debatowano nad „rugami pruskimi”, które ostatecznie potępiono, Liebknecht odrzucał propagandę o „cofaniu się Niemczyzny na Wschodzie”. Odwołując się do Darwina i Hegla, dowodził z trybuny parlamentarnej, że „prawa historycznego postępu” oznaczają, iż naród będący na „wyższym stopniu rozwoju kulturowego” (Niemcy) nieuchronnie będzie się dalej rozwijać kosztem narodu „znajdującego się na niższym stopniu rozwoju” (Polacy). Zwracając się do sali sejmowej, mówił: „Czyż nie rozpoznajecie prawidłowości płynącej ze światowej historii i historii kultury, że gdzie kulturowo wyżej postawiony naród graniczy z narodem niższym kulturowo, ten o wyższej kulturze nie może być zepchnięty do odwrotu, ale odwrotnie: będzie posuwał się do przodu? A nasi polscy koledzy nie poczytają tego za obrazę, gdy będę twierdził, że Niemcy jako całość jest znacznie bardziej zaawansowany w zakresie kulturowego rozwoju aniżeli Polacy”.

W ten sposób Liebknecht powtarzał argumenty, które wśród niemieckiej lewicy marksistowskiej były w obiegu od kilkudziesięciu lat. W 1849 r. Fryderyk Engels pisał, że dotychczasowe niemieckie podboje na wschodzie, nie wyłączając tych dokonanych przez „reakcyjną” przecież monarchię pruską, były dokonane „w interesie cywilizacji”, ponieważ

Niemcy na wschodzie odgrywali rolę „nosicieli postępu”. W 1851 r. w liście do Karola Marksa pisał, że w zamian za ziemie utracone na rzecz Prus Polacy mogą się zadowolić „widokami na Rygę i Odessę”, aczkolwiek poniżej powątpiewał, czy ten „upadły naród” ma jeszcze prawo do istnienia. Odrodzenie polskiej państwowości byłoby – jak klarował Engels – równoznaczne z „postępem barbarzyństwa”, którym charakteryzują się według niego wszystkie narody słowiańskie. Jak widać, upowszechnianiem mitów o „niemieckim Kulturtręgestwie” na wschodzie zajmowali się nie tylko przedstawiciele konserwatywnej warstwy junkierskiej i liberalno-protestanckich elit walczących z „polskim ultramontanizmem”. Wrogość wobec Polaków była najszerzą z możliwych platform porozumienia ponad podziałami niemieckich stronnictw politycznych.

KŁĘSKA KOLONIZACJI

Do 1918 r. pruska Komisja Osadnicza osiedliła w zaborze pruskim (Wielkopolska i Prusy Zachodnie) 21 866 niemieckich rodzin, czyli ponad 153 tys. osób. Niemal 97 proc. z nich było protestantami. W 1904 r. pruscy ministrowie orzekli, że zwiększenie liczby niemieckich osadników katolików nie byłoby zgodne z zasadniczym celem instytucji, czyli wzmocnieniem Niemczyzny na wschodzie Prus. Według nich niekorzystny był fakt, że większość arealu nabywanego przez komisję pochodziła z rąk niemieckich. Do końca 1913 r. ponad 71 proc. nabywanej przez tę komisję ziemi pochodziło od niemieckich właścicieli. Tymczasem w latach 1896–1914 stan polskiego posiadania ziemi w Wielkopolsce i na Pomorzu Gdańskim wzrósł o ponad 105 tys. ha.

Wpompowanie łącznie setek milionów marek w Komisję Kolonizacyjną zdało się na nic. Przeciwnie germanizatorom polskiej ziemi działały tendencje migracyjne, np. zjawisko „Ostflucht”, czyli przemieszczania się ludności niemieckiej ze wschodnich Prus do wielkich centrów przemysłowych w Berlinie lub w Nadrenii. Nie wystarczyłoby to jednak, gdyby nie opór Polaków organizujących własne banki, spółki zarobkowo-pożyczkowe, czytelnie ludowe – to wszystko, co nazywano „robotami organicznymi”. □